



Kryminał z myszką

45

Siedmio- ramienny świecznik

Kazimierz
Korkozowicz

Kazimierz Korkozowicz

SIEDMIORAMIENNY ŚWIECZNIK

Kryminał z myszką – Tom 45

Wydawnictwo Estymator

www.estymator.net.pl

Warszawa 2022

ISBN: 978-83-67562-30-0

Copyright © Tomasz Korkozowicz

Tekst: KAW, Warszawa 1975

Światło latarni, zmieszane z resztkami blasków wieczornej zorzy, zaledwie przedzierało się przez liście platanów. Kamil wytężał wzrok, by rozróżnić drobne cyfry. Każdej towarzyszyła jakaś nazwa, która nasuwała wyobraźni widok stacji, gdzie na zwrotnicach stukoczą koła, maleje pęd, a potem przez okna widać oświetlone perony i krzątające się spieszących ludzi.

Przypomniawszy sobie uroczę, prowincjonalne miasteczko, ukryte pomiędzy wzgórzami, o czerwonych dachach ukrytych wśród zieleni drzew, ze smukłą wieżą kościoła kłującą niebo. Dostałby na pewno bez trudności staroświecko urządzonego pokoju z pociemniałym belkowaniem sufitu i mógłby wieczorami prowadzić na wpół żartobliwe rozmowy z gospodarzem, a dni spędzać na długich spacerach wśród pól. To byłby prawdziwy odpoczynek. Tak, ale to samo mógł mieć i w swoim kraju. Poza tym znał siebie dobrze: po tygodniu nuda jednostajnie płynących dni kazałaby mu znów pakować walizki.

Zsunął kapelusz na tył głowy i podrapał się w czoło. Trzeba więc wybrać coś innego. Zatem Południowe Wybrzeże? A może Bretania?

Kelner przesunął się obok, trącając go w przejściu ramieniem. Krótkie „pardon” doleciało go już z daleka.

Brańczyc wyciągnął przed siebie nogi i z zadowoleniem, jakie daje poczucie wolnego czasu, odłożył rozkład jazdy, by obserwować szumiący gwarem ludzki tłum przesuwający się trotuarem tuż obok stolików.

Ciepły, letni wieczór nasiąkał coraz bardziej mrokiem. Światła latarni biegły szeregiem punktów, hen, w ciemną perspektywę ulicy.

Z drugiej strony migotała różowym szklivem powierzchnia Sekwany, a za nią, na tle świetlistego, pomarańczowego nieba, rysowały się granatowym konturem sylwety wież Notre Dame.

Teraz, kiedy dni wyczerpującej pracy miał już za sobą, kiedy ostatnie depesze zostały wysłane, opanował go beztroski nastrój. Miał przed sobą perspektywę czterech tygodni odpoczynku w tym kraju tak bliskim jego sercu, tym bliższym, że i za jego wolność toczył niebezpieczną walkę.

Poczucie wolnego czasu cieszyło, a swoboda decyzji rodziła zaciekawienie, co przyniesie dokonany wybór. Jednak ta swoboda była jedną więcej ludzką złudą, o czym miał się zaraz przekonać.

Barczysty mężczyzna zatrzymał się przed Kamilem i przez chwilę przyglądał mu się w milczeniu. Na jego gładko wygolonej, surowej twarzy pojawił się krótki uśmiech. Potem wyciągnął rękę.

– Branczyz. Niechże diabli wezmą twoje niemożliwe nazwisko. Znów muszę sobie łamać nim język!

Tylko na krótką chwilę Kamil znieruchomiał w zdumieniu. Potem poderwał się na nogi.

– Och, pułkownik! Po tylu latach! Jestem szczęśliwy, że znów pana widzę!

Mężczyzna podsunął sobie krzesło.

– No, to sobie trochę pogadamy. Tak nas niewielu pozostało z „Annabelli”... Tylko nie wracaj, proszę, do mojej rangi. To już minęło – przerwał na chwilę. – Jestem monsieur Raoul Bonivarde i nic więcej. Właściciel farmy – jeśli chcesz wiedzieć – kurzej.

Uśmiech był trochę smutny i trochę ironiczny. Zamilkł i spoglądał na uliczny ruch. Potem obrócił głowę w stronę Kamila i uporczywym, nieruchomym spojrzeniem przywarł do jego twarzy.

Brańczyc znał ten badawczy, sięgający do głębi wzrok. Był świadkiem, jak pod jego naporem odważni i silni mężczyźni opuszczali oczy pokrywając zakłopotanie beztroskim uśmiechem, a potem mówili; więcej, niż od nich żądano.

Wreszcie Bonivarde przemówił:

– W czterdziestym piątym roku miał pan wracać do Polski?

– I wróciłem.

– A teraz znów we Francji?

– Służbowo. Obsługiwałem ekonomiczną sesję ONZ dla gazety. Wczoraj, jak pan zapewne wie, zakończyła obrady.

– Wraca pan do Warszawy?

– Tak, ale dopiero za miesiąc. Mogę przedłużyć pobyt o cztery tygodnie.

– Hm... – Bonivarde znów zamilkł. Nie patrzył teraz na Kamila. Opuścił głowę i wpatrywał się w kolorową okładkę rozkładu jazdy, leżącego na stoliku.

– Właśnie zastanawiam się, gdzie spędzić urlop – powiedział Brańczyc widząc to spojrzenie.

– I co pan wybrał? – Bonivarde przeniósł wzrok na twarz swego towarzysza.

– Właściwie jeszcze nic – Kamil wzruszył lekko ramionami. Na razie cieszę się: miesiąc wolnego czasu i tyle możliwości jego wykorzystania!

– Tak, istotnie perspektywa godna zazdrości. – W głosie Bonivarde’a zadrgała nieuchwytna nuta sarkazmu, która nie uszła uwagi Brańczyca. Zaintrygowany, rzucił od niechcenia:

– Czy sprawy farmy są tak absorbujące, że nie może się pan od nich oderwać i też trochę odpocząć?

Bonivarde obrzucił go szybkim, lustrującym spojrzeniem, po czym znów się uśmiechnął. Był to uśmiech krótki i ledwo widoczny. Lekkie wygięcie ust, szybki błysk oka i twarz znów przybrała zwykły, surowy wyraz.

– Ba, mój drogi! Nie ma pan pojęcia, co znaczy taka hodowla! Zwłaszcza, ile kłopotu sprawiają niektóre koguty!

Kamil bez słowa obserwował swego towarzysza. Jego przełożony z czasów Resistance – Bonivarde był wówczas szefem grupy wywiadowczej „Annabella” – zamyślił się, by po chwili rzucić raptownie:

– Czy pamięta pan spaloną akcję w Montfort? Straciliśmy tam pięciu naszych najlepszych ludzi. Wśród nich zginął mój najmłodszy brat, wspaniały i dzielny chłopak...

– Doskonale pamiętam. To była zdrada...

Bonivarde ciągnął dalej już cicho i w zadumie, jak gdyby rozmawiał sam z sobą.

– Zginęli po dwudniowych torturach... Widziałem ich zwłoki, zanim je pochowano. Leżeli na kamieniach podwórka, pod odrapanym murem. Twarzy Henryka nie mogłem rozpoznać... tylko ubranie... Wszyscy wytrzymali aż do zbawczej, dobroczynnej śmierci...

Zamilkł na chwilę i znów zaczął:

– Szefem gestapo w Montfort był alzatczyk, Walter Clestil. Postanowiłem pomścić Henryka i tamtych czterech. Ale wkrótce, jak wiesz, nadeszła inwazja, mieliśmy wówczas dużo innej roboty i ptaszek umknął.

– No i? – rzucił cicho Kamil.

– Od lat go szukam. Wiem, że jest we Francji.

– No i? – powtórzył Brańczyc.

– Teraz wydaje mi się, że już niedługo będę go miał.

Zapadło milczenie. Obok przy stoliku jakaś młoda para sprzeczała się głośno. Dziewczyna rozkapryszonym głosem powtarzała uparcie „non, non”, potem zerwała się i wybiegła. Chłopak rzucił pieniądze na stół i podążył za nią.

– Czy nie przydałbym się panu? – Brańczyc przerwał milczenie.

– A co z urlopem?

– Nie wyobrażam sobie nic bardziej pociągającego niż takie spędzenie urlopu! Pracować znów z panem, pod pańskim kierownictwem!

Bonivarde uśmiechnął się.

– Emocji na pewno nie zabraknie. Sytuacja zbliża się do finału, więc tym bardziej brak mi kogoś, na kim mógłbym polegać.

– Chyba pan nie wątpi...

– Więc zgoda. Zresztą byli to przecież i twoi towarzysze. Zakończymy po prostu jedną z naszych akcji, której nie zdążyliśmy wykonać w czasie wojny.

Bonivarde nachylił się ku towarzyszowi.

– Zatem słuchaj uważnie, chłopcze...

Kamil przypomniawszy sobie odległy czas walki pod rozkazami tego człowieka. Jak wówczas, tak i teraz, instrukcje i komentarze były krótkie, jasne i nie budzące wątpliwości.

Mieszkanie było obszerne i bogato umeblowane. Z wielkiego hallu oszklone drzwi prowadziły do salonu, stamtąd do gabinetu pana domu. Meble nie były jednolite, jednak większość z nich stanowił palisandrowy Ludwik XV zdobiony delikatnym wzorem cyzelowanej miedzi. Wśród obrazów znajdowały się szkice Hoggartha, pejzaże Bonheura i Corota, a jedną ze ścian gabinetu zdobiła ikona, która w mniemaniu znawców wyszła spod pędzla Teofana Greka.

Pokoje sypialne państwa Lavery leżały po lewej stronie, po prawej znajdowała się obszerna, nieco mroczna jadalnia.

Krzętał się po niej lokaj, cicho i sprawnie nakrywając do obiadu. Ciemne, chippendalowskie meble połyskiwały politurą w elektrycznym świetle wielkiego żyrandola. Na dużym stole znajdowały się tylko dwa nakrycia, oddzielone od siebie kryształowym wazonem, w którym trzy łososiowe róże odbijały kolorową plamą od białego obrusa.

Lokaj ułożył sztucze i obrzucił całość uważnym spojrzeniem. Potem popatrzył na wahadłowy zegar stojący w rogu pokoju.

Zadzwonił telefon w hallu. Drugi aparat znajdował się na biurku pana domu. Stał obok kutego ze srebra, siedmioramiennego żydowskiego świecznika, który pamiętał chyba czasy Karola Młota. Był to pojedynczy egzemplarz, odszukanie zaś drugiego, z którym stanowił parę, udało się tylko dzięki wytrwałej cierpliwości.

Telefon dzwonił przez pewien czas, zanim służący bez pośpiechu wyszedł i równie bez pośpiechu podniósł słuchawkę.

– Tu mieszkanie państwa Lavery – oznajmił z godnością, po czym dodał: – Owszem, jest... zaraz poproszę.

Wyszedł na korytarz prowadzący do obu sypialni i zapukał do drzwi jednej z nich. Z wnętrza nie doszedł go żaden odgłos, powtórzył więc pukanie, jednak równie dyskretnie jak za pierwszym razem, i stał nasłuchując.

Przez chwilę panowała za drzwiami cisza. Potem posłyszał jak gdyby hamowany szloch. Wreszcie padło ciche pytanie:

– O co chodzi?

Służący otworzył drzwi i stanął na progu.

– Telefon do pani. Dzwoni panna Fontenay.

– Proszę, niech Piotr powie, że zaraz podejdę.

Alicja Lavery siedziała w fotelu z chusteczką w ręku. Zaskoczona wejściem lokaja, odwróciła szybko głowę ku oknu, nie tak szybko jednak, by ten nie zauważył łez ściekających jej po twarzy.

Zamknął za sobą drzwi i wolno podszedł do niej. Alicja osuszyła policzki chusteczką i spojrzała nieco zdziwiona na służącego.

Ten zatrzymał się o parę kroków i obserwował ją w milczeniu.

– Dlaczego Piotr tak mi się przygląda? – zapytała starając się ukryć zmieszanie. – Proszę iść i wykonać polecenie!

Służący nie zwrócił uwagi na jej słowa.

– Pani płacze? Co się stało?

– Wydaje mi się, że Piotr pozwala sobie na zbyt dużą ciekawość!

– Pomyślałem sobie, że może potrzebuje pani rady lub pomocy... – odpowiedział z respektem.

– Wówczas na pewno nie zwracałabym się z tym do Piotra! – rzuciła rozdrażnionym tonem.

– Nie przypuszczałem, że panią urażę. Proszę mi wybaczyć... – mruknął lokaj. Skłonił się przesadnie i obrzucił Alicję spojrzeniem, które wzbudziło w niej niepokój.

– Zakończmy tę rozmowę – powiedziała krótko – a na przyszłość proszę poniechać okazywania mi tego rodzaju życzliwości!

Alicja minęła lokaja kierując się ku drzwiom. Poszedł za nią i już z jadalni obserwował jak rozmawiała przez telefon.

Widział jej szczupłą, zgrabną sylwetkę i kędzierzawą grzywę włosów nad pełną dziewczęcego uroku twarzyczką. Duże szare oczy wyrażały rozpacz i bezradność. Mówiła cicho ale niektóre urywki zdań dochodziły do czujnych uszu lokaja.

– A więc dobrze kochanie. O jedenastej? Nie obiecuję, ale postaram się. Taak? Naprawdę? Nie skądże po prostu może dlatego że mam szaloną migrenę...

Potem stuknęła odłożona słuchawka. Alicja wróciła do siebie. Ta błaża rozmowa telefoniczna kosztowała ją dużo wysiłku. Opadła znów na fotel stojący obok okna i bezmyślnie obserwowała biegnącą w dole ulicę.

Nachodziły ją fale gwałtownego strachu przytłaczając wszystkie inne uczucia. Potem znów ciężkie gorzkie myśli, w których bunt obrzydzenie i wściekłość mieszały się z poczuciem popełnionego błędu. Jednak strach i bezradność dominowały i dokuczały najbardziej. Musi znów zdobyć się na ogromny wysiłek, znów zabiegać i kłopotać się, skąd zdobyć pieniądze, bowiem kolejny list z ich żądaniem nadszedł w dniu dzisiejszym.

Powinna, musi zrobić wszystko aby nie dopuścić do Bena jakiegokolwiek choćby najbliższej wiadomości o tej przekłętej, dawno minionej przygodzie z Filipem.

Kochany, dobry, zawsze spokojny i zawsze wyrozumiały Ben! Ale jego wybujałe poczucie własności... Znała tę jego twardą zawziętość – bliska osoba i martwy przedmiot nie ulegały w takich razach zróżnicowaniu. Wtedy Ben stawał się bezwzględny, zaślepiony, poprzez jego łagodność przebiegała wówczas zachłanność, której była przecież najcenniejszym obiektem. Wyczuwała to dostatecznie wyraźnie, aby nie mieć wątpliwości. Nie byłaby zaś kobietą, gdyby świadomość takiego stanu rzeczy nie sprawiała jej przyjemności.

Gdyby więc Ben... Nie, wołała o takiej ewentualności nawet nie myśleć.

Ach, ten łajdak! Jak mogła, jak mogła! Czyż można było przewidzieć, że takie zakończenie będzie miał ów epizod sprzed roku? Spędzała wówczas letnie miesiące na Sycylii, w Santa Agata. Zjawił się przed nią któregoś dnia w blasku południowego słońca i... straciła głowę. Nastąpiły dni zmysłowego oszołomienia, a potem przyszła chwila trzeźwego namysłu, pierwszych chłodnych spostrzeżeń. W pięknym ciełe tkwiła dusza kupczyka, a trywialność myślenia i arogancki, pełen pewności siebie sposób bycia przebiegały przez powierzchowną układność manier. Zaczął ją razić coraz bardziej, kiedy więc nie stawiał się na umówione spotkanie, a w parę godzin później spotkała go z podejrzaną pięknnością – po prostu spakowała rzeczy i wyjechała bez pożegnania.

Sądziła wówczas, że tym upokorzeniem zapłaciła za lekkomyślny krok. Ale potem okazało się, że nie była to pełna cena. Należało dokonać ogromnej dopłaty. Poza groźbą całkowitego wyzbycia się osobistego majątku, została skazana na przeżywanie lęku, rozpacz i wstydu.

Posłyszała dzwonek u drzwi wejściowych. Nadchodził Ben. Trzeba mu okazać pogodną twarz, nie powinien zauważyć zaczerwienionych płaczem powiek.

Przemyśla oczy zimną wodą i usiadła przed lustrem, sięgając po puder.

Lavery był mężczyzną pięćdziesięcioletnim, szczupłym, o pochylonej do przodu postaci. Bardzo wysokie czoło okalały szpakowate, dość już przerzedzone włosy. Ciemne, piękne oczy patrzyły bystro i mądrze. Był znanym, wziętym adwokatem, o wyrobionym nazwisku i zamożnej klienteli ze sfer przemysłowych. Mówił zawsze spokojnie, dokładnie precyzując myśli, w słowach dobieranych z rozwagą i umiarem.

Kiedy wszedł do jadalni, Alicja już tam była. Pocałował ją w czoło, a następnie ujął za rękę i jakiś czas spoglądał bez słowa w jej twarz, dopóki wymuszony uśmiech nie pojawił się na ustach kobiety.

– Wyglądasz bardzo mizernie, moja kochana, czy ci nic nie dolega?

Alicja zgasiła uśmiech, którym usiłowała pokryć zakłopotanie, i mimowolnym gestem, na wpół już wierząc w swoje drobne kłamstwo, przyłożyła ręce do czoła.

– Mam okropną migrenę. Może przejdzie...

Zasiedli do stołu. Początek posiłku przeszedł w milczeniu. Lokaj cicho i sprawnie zmieniał talerze, z tą dyskretną czujnością właściwą dobrze wyszkolonej służbie.

Z ulicy dochodziły od czasu do czasu przytłumione hałasy; tym przytulniejsza wydawała się cisza pokoju.

Dla Alicji była jednak nie do zniesienia. Czuła gwałtowną potrzebę odezwania się, aby własnym głosem zagłuszyć nurtujący ją niepokój. Wydało jej się, że jeżeli nie przerwie milczenia, nie powie chociażby paru błahych słów, to za chwilę zacznie krzyczeć z trwogi, która nagle poczęła mącić jej myśli.

Ben Lavery wypił mały łyk wina, ostrożnie odstawił kieliszek i dołożył sobie plasterek cielęciny.

Alicja zaczerpnęła tchu.

– Telefonowała Ewa – powiedziała kontrolując głos w obawie by nie zadrżał. – Masz od niej pozdrowienia.

– To miła dziewczyna. Podziękuj przy okazji i powiedz coś odpowiedniego w moim imieniu. Dawno już do nas nie zaglądała.

– Ostatnio spotykałam się z nią na mieście. Jutro też mamy zobaczyć się w „Ambasadorze”.

Zmiana talerzy spowodowała krótką przerwę w rozmowie.

– Czy nadal pracuje u Monda?

– Tak. Zdaje się jednak że dużo roboty tam nie ma.

– Czyżby agencja szła niezbyt dobrze?

– Tego nie wiem. Mond to zdolny jegomość, więc chyba daje sobie radę.

– Tak. To obrotny człowiek – Lavery zamyślił się. – I jego również już dawno nie spotkałem. Ostatni raz był u mnie w kancelarii jakieś pół roku temu.

– U ciebie? Ty go znasz?

Ben uśmiechnął się.

– Jesteś roztargniona, kochanie. Przecież to właśnie przeze mnie pomogłaś przyjaciółce uzyskać tę posadę.

Alicja zdobyła się na wysiłek i odwzajemniła uśmiech.

– Racja. Zupełnie o tym zapomniałam. Czy znasz go dobrze?

– Czemu o to pytasz?

– Bo przyszło mi na myśl, że może byłoby dobrze ze względu na Ewę zaprosić go razem z nią do Pontoise?

Lavery znów się uśmiechnął.

– Czyżbyś chciała ich swatać? Jeśli tak, to oczywiście nie mam nic przeciw temu.

– Skądże! Przyszło mi tylko na myśl, że takie zetknięcie się na gruncie towarzyskim może ułatwić Ewie stosunki służbowe.

– Monda znam dość dawno, ale powierzchownie. Ostatecznie, jeśli masz ochotę, to go sobie zaproś. Wspólny weekend do niczego nie zobowiązuje.

Ponieważ na tacy zebrała się już sterta talerzy, służący zabrał ją, kierując się do pomieszczeń służbowych. Zamknął za sobą po cichu drzwi, a potem stał za nimi z lekko pochyloną głową. Słowa dochodziły doń zupełnie wyraźnie. Słuchał ich przez chwilę, a potem ruszył w głąb mrocznego korytarza.

Wielka sala huczała gwarem. Dziewczyna idąca przejściem pomiędzy stolikami była zgrabna i smukła. Linia długich nóg, przechodząca w wąskie biodra, i śmiały biust ściągały spojrzenia mężczyzn powodując przerwy w ich rozmowach. Szła w towarzystwie niskiego, tęgiego mężczyzny. Jego nalana twarz z okrągłym kartoflanym nosem wyrażała pogodę i dobroduszość. Rudawe włosy zaczesane na bok, poprzez cały wierzch czaszki, nie były w stanie zakryć lśniącej łysiny. Wycierał się chustką, sapiąc z gorąca i wysiłku.

Kiedy usiedli, mężczyzna zajął się przede wszystkim kartą. Dziewczyna przesunęła wzrokiem po sali, po czym otworzyła torebkę. Wyjęła z niej starą, zniszczoną kopertę. Tani, niebieski papier był wystrzępiony i brudny. Położyła kopertę na stoliku.

W tej chwili podszedł kelner. Podczas gdy nachylony usłużnie przyjmował zamówienie, dziewczyna przykryła kopertę dłonią. Po odejściu kelnera mężczyzna spojrzał na towarzyszkę.

– Głodny dziś jestem jak pies. – Ukazał rząd białych zębów. Były zbyt białe, by nie nasuwać myśli, że nie są prawdziwe. Jednakże ich biel rzuciła na twarz refleks młodości.

Dziewczyna odwzajemniła uśmiech.

– I ja jestem głodna, panie Mond. Mieliśmy przed południem sporo roboty.

– Ale skończyliśmy na czas! Nie miałem jeszcze tak wymarzonej sekretarki!

Ewa obrzuciła Monda jednym ze swych „bojowych” spojrzeń.

– Wymarzonej? Czyżby? – Lekko ironiczny uśmiech przemknął po jej twarzy.

Mond uchwycił jej spojrzenie.

– A gdyby? Gdyby tak było? – spytał cicho i z naciskiem. Jednocześnie tłusta dłoń spadła na smukłe palce spoczywające jeszcze na kopercie i przykryła je całkowicie.

– Proszę mi dać papierosa – powiedziała, by uwolnić się od tego uścisku.

Mond skwapliwie i z galanterią podsunął jej papierośnicę. Dopiero wówczas spostrzegł leżącą na stoliku kopertę.

– Co to jest? Czy i tu chce pani załatwiać sprawy agencji?

Ewa podsunęła mu zabrudzony papier.

– Znalazłam to dziś rano zaraz po przyjściu pod pańskim biurkiem. Proszę zwrócić uwagę na nazwisko adresata i znaczek.

Mond podniósł do oczu kopertę.

– Sturmführer Clestil? – mruknął. – I końcowe litery „rt” jakiegoś wyrazu, którego początek został oddarty?

– Czy zna pan człowieka o tym nazwisku?

– Nie. – Mond podniósł oczy na dziewczynę. – Znaczek z niemieckim orłem i swastyką, data stempla z 1943 roku. Skąd to mogło się wziąć w moim gabinecie?

– Myślałam, że upadł panu jakiś list, i podniosłam. Potem zapomniałam o nim.

Siedział ze zmarszczonym czołem, wpatrzony w kopertę. Nadszedł kelner i ustawivszy dania, zniknął.

– Kto mógł zgubić tę kopertę? – zastanawiał się głośno Mond. – Rano nikt, bo znalazła ją pani zaraz po przyjściu, prawda?

– Tak. Byłabym ją wyrzuciła, gdyby nie ten niemiecki znaczek ze swastyką, który zwrócił moją uwagę.

– Siedziałem wczoraj do późna. Po zamknięciu biura były u mnie trzy osoby. Najpierw przyszedł Varese, a w chwilę po jego wyjściu zjawił się Piotr z aktami od Lavery’ego. W końcu, już około dziewiątej, Filip Volbert. Wydaje się, że chyba nikt z nich nie mógł zgubić tej koperty. Zresztą kto wie?

Chwilę znów się zastanawiał.

– A co ze sprzątaczką?

– Mogła nie zauważyć koperty albo ograniczyła sprzątanie do pozostałych pokoi wiedząc, że pan jest jeszcze w biurze.

Mond przestał jeść.

– Po co tak się nad tym głowimy? Czy to takie ważne? – Upił łyk wina i wytarł usta serwetką.

– Istnieje możliwość, że któryś z tych ludzi jest adresatem widniejącym na kopercie i być może ukrywa się pod zmienionym nazwiskiem.

– Sądzi pani, że mogłaby wchodzić w grę któraś z tych trzech osób? No i ja, jako czwarty? – Mond roześmiał się.

Ewa spojrzała mu w oczy.

– Tak. I pan jako czwarty – stwierdziła spokojnie.

Mond nie przestawał uśmiechać się.

– A wówczas co? Złoży pani meldunek?

– Na pewno tak. Pan chyba wie, że mój ojciec zginął zamordowany przez Gestapo?

Mond skończył jeść i odsunął talerz.

– To jest bardzo smutne. Współczuję pani i doskonale rozumiem. A ponieważ ja nie jestem tym adresatem, zastanawiam się, kto mógł zgubić tę kopertę.

Małe oczka Monda zamrugały z ożywieniem, kiedy ciągnął dalej.

– Zresztą wydaje mi się, że upraszcza pani sprawę. Przecież nawet jeśli któryś z nich ją zgubił, nie dowodzi to jeszcze, że jest odbiorcą listu. Może po prostu zbiera znaczki i stąd ta koperta?

– To wyjaśnienie nie wydaje mi się przekonujące – dziewczyna w zamyśleniu bawiła się serwetką. – Mam przekonanie, że była to czyjaś nieuwaga...

Mond nie zwrócił uwagi na jej ostatnie słowa.

– Volberta pani zna – powiedział – bo już zdążył okazać pani swoje zainteresowanie. Varese jest pani gospodarzem i zdaje się mieszka w Paryżu od lat, a Piotr Becher jak pani wie jest służącym u Laverych.

– Nie znałam jego nazwiska, jedynie imię. Jestem natomiast zaintrygowana, co było powodem wizyty pana Varese.

– Nic specjalnie ważnego – powiedział zdawkowo Mond. – Osobiście najbardziej podejrzewam Volberta...

Ewa uśmiechnęła się.

– Pan Volbert interesuje się raczej tylko kobietami, oczywiście jeśli nie są zbyt szpetne.

– Ma on również i inne zainteresowania, o których pani nie wie – mruknął Mond.

– Jakież to?

– Nie warto o tym mówić. Muszę jednak panią ostrzec przed tym chodzącym pięknem. Nie radzę tego jabłka nadgryzać, bo środek jest robaczywy...

– Oho, musimy przerwać to plotkowanie, o wilku mowa...

Istotnie Filip Volbert zbliżał się do stolika. Był to smukły mężczyzna o wąskiej talii i szerokich ramionach. Nad wysokim czołem układały się falami ciemne włosy. Prosty grecki nos miał nozdrza ostro rzeźbione, jedynie mocny zarys szczęk odbierał twarzy wyraz łagodności, jaki nadawały jej oczy. Poruszał się swobodnie i z pewną nonszalancją.

– Dzień dobry, panno Fontenay! Co za szczęśliwy dzień! Czy mogę się do was na chwilę przysiąść?

Mond bez słowa i z rezerwą ujął podaną dłoń, a Ewa wskazała mu krzesło obok siebie.

– Może pan siadać, chociaż mieliśmy już wyjść. Czekam tylko na przyjaciółkę, z którą się umówiłam.

– Tak? Cóż to za przyjaciółka? Jestem zazdrosny o każdą osobę, która pani jest bliska!

– Alicja Lavery, żona adwokata.

– Doprawdy? To panie się znają? Cóż za zbieg okoliczności! Poznałem panią Lavery na Sycylii, bodaj że w ubiegłym roku. Bardzo miła i piękna kobieta. Niestety była bardzo krótko!

– Będzie pan mógł odnowić tę znajomość, gdyż zaraz powinna tu być.

– Niestety, jestem umówiony z panną Bellano – wie pani, ostatni szlagier Casina. Nadzwyczajny talent! Jest nieporównana, zwłaszcza w groteskach tanecznych.

Ewa uśmiechnęła się, potem powiedziała poważnie.

– Tak, to istotnie źle się składa, ale mam nadzieję, że panna Bellano powetuje panu tę stratę.

– Dziękuję pani za słowa otuchy – równie poważnie odpowiedział Volbert – ale nigdy nie byłem pesymistą...

– Spodziewam się, ma pan po temu dane.

– Pani jest dla mnie istotnie łaskawa. Wobec tego pozwolę sobie zapytać, czy nie zechciałaby pani wziąć udziału w wycieczce, jaką urządzamy trzema samochodami na Dni Ostendy. W przyszłym tygodniu mamy dwa dni świąt, więc może nie będzie pani potrzebowała pytać szefa o pozwolenie? – Volbert spojrzał ironicznie na milczącego Monda.

– Kto jedzie?

– Och, nasza paczka! Z panią byłoby sześć osób.

– A panna Bellano?

– Nie może, ma przecież występy.

– Zatem jedna para na samochód?

– Tak, rachunek się zgadza. Proponuję pani miejsce w moim wozie.

– Bardzo pojętna propozycja.

– Byłbym szczęśliwy, gdyby zechciała pani wyrazić zgodę. Zadzwońię do pani za parę dni, dobrze?

– Proszę, niech pan dzwoni. A co dalej, to zobaczymy...

– Jest pani urocza! Żałuję, że muszę już iść, ale Wera się wścieknie. Zatem do widzenia, serwus Mond! Mam nadzieję, że mi pani nie odmówi? – Ujmując dłoń dziewczyny spojrzał jej w oczy. – Prawda? – dokończył ledwie dosłyszalnie.

Ewa uśmiechnęła się, ale nie odpowiedziała.

– Nicowany młodzieniaszek – mruknął z przekąsem Mond, kiedy Filip nie mógł go już słyszeć.

– Dlaczego pan tak mówi? – zdziwiła się Ewa.

– Czy pani wie, że ten piękniś ma już dobre czterdzieści lat?

– Taak? Nigdy bym nie przypuszczała. Wygląda najwyżej na trzydzieści.

– Ba! Tylko wygląda! Robi z siebie beztróskiego młodzieńca, a w rzeczywistości to stary lis, kuty na cztery łapy.

– Niezbyt go pan lubi.

– Nie znoszę go! Działa mi na nerwy! Jeszcze raz zalecam ostrożność. Byłoby szkoda, gdyby miała pani... – Zawahał się nie kończąc rozpoczętego zdania.

– Podoba mi się. Jest istotnie urzekający i dostatecznie pewny siebie, aby pociągać kobiety.

Mond nie zdążył odpowiedzieć, gdyż stanęła przed nimi Alicja Lavery.

– Ala, co tak późno? Musimy już iść!

– Nie mogłam wcześniej, miałam do załatwienia coś ważnego. I zaraz muszę iść – trzepała szybko Alicja – więc tylko na sekundę przysiadę. Nie, nie, dziękuję... zaraz

wychodzę – odpawiła czujnego kelnera. – Nie mogę z tobą zamienić nawet paru słów. Przyszłam po to przede wszystkim, żeby oboje państwa zaprosić na przyszłą niedzielę do nas na weekend. Są dwa dni świąt, więc użyjemy sobie słońca! Mam nadzieję, że pogoda dopisze.

– To bardzo miło z waszej strony – Ewa zawahała się – ale trudno mi od razu zdecydować. Zadzwoń do ciebie.

– Nie chcę słyszeć o odmowie! Obrażę się! Ewo, bardzo mi zależy, żebyś była. Chcę cię mieć na dłużej – żeby spokojnie, bez pośpiechu pogadać. Ale zaproszenie obejmuje i pana, panie Mond.

Ten pochylił się w ukłonie.

– Jestem bardzo zobowiązany. Skorzystam, o ile tylko interesy mi na to pozwolą.

– Więc postanowione! Proponuję, abyśmy zabrali się naszym samochodem, zresztą detale ustalimy telefonicznie.

– Państwo nie wyjeżdżacie w tym roku gdzieś dalej? – zapytał Mond. – Kancelaria nie ma chyba obecnie zbyt dużo klientów?

– Oczywiście, że lato swoje robi, ale Ben ma jakieś tam sprawy, które zatrzymują go w mieście. Wyjedziemy dopiero w sierpniu. Na razie więc przy każdej okazji uciekamy do Pontoise! No, już naprawdę muszę lecieć! Pamiętajcie o nas i do widzenia!

Za chwilę Alicji już nie było.

– No i co teraz? – spytał Mond kpiąco. – Ostenda czy Pontoise?

Ewa wydeła usta.

– Czy pan naprawdę myślał, że przyjmę zaproszenie pana Volberta? Było zbyt jednoznaczne!

Mond uśmiechnął się wstając od stolika.

– Znam trochę kobiety, moja piękna sekretarko, a dziwić się przestałem już dość dawno...

Zatrzymał się, by przepuścić dziewczynę.

KONIEC BEZPŁATNEGO FRAGMENTU

ZAPRASZAMY DO ZAKUPU PEŁNEJ WERSJI